

Orzeł czy reszka?¹

Zygmunt Nowakowski

Namawianie Polaków do powrotu jest zbyteczne. Każdy z nas chce wracać. Byłby głupi, gdyby oświadczył, że w ogóle nie ma zamiaru wrócić do Polski. Może znajdą się jakieś tam wyjątki, jacyś ludzie zmateralizowani doszczętnie, o zanikającym poczuciu polskości, jakieś typy obieżyświatów, ale to zaledwie ułamek ułamka procentu. Nie liczy się ich. Niech zostaną tu czy gdzie indziej.

Wracać chcemy wszyscy i chcemy wracać jak najprędzej. Gdyby to było możliwe, pożegnaliśmy naszych gospodarzy już dzisiaj. Ręce dygotatyby nam przy pakowaniu gratów. Ach, zostawilibyśmy nawet owe graty, w obawie, że mogą opóźnić odjazd. Wydaje mi się, że gdyby wiadomość o powrocie dotarła do rozsianych na tej wyspie cmentarzy polskich, umarli wstaliby z trumien i poszli wraz z nami. Nawet im, umarłym, nieswojo jest w cudzej ziemi, a cóż dopiero mówić o nas, o żywych?

Jeśli ktokolwiek namawia Polaków do powrotu, daje do zrozumienia, że uważa nas za głupców. Trzeba w tym wypadku podziękować uprzejmie za wszelkie namowy i rady. Sami wiemy, że powinniśmy jechać, wiemy to lepiej niż ci, którzy nas usiłują nakłonić do wyjazdu.

Nie było, nie jest i nigdy nie będzie zamiarem naszym wiekować zagranicą. Nawet przez chwilę najkrótszą nie stanowiliśmy emigracji, której cechą główną jest dobrowolna chęć osiedlenia się w kraju obcym.

Jesteśmy zjawiskiem bez nazwy i bez precedensu w dziejach świata. Problem nasz nie da się rozstrzygnąć na podstawie doświadczenia, ponieważ jest to wypadek pierwszy, nienotowany, niepodpadający pod normalne kategorie. Tu nie poradzi rutyna, zarządzenie administracyjne, czy ustawa. Jesteśmy fenomenem którego nie da się ująć w żadne paragrafy. On rozsądza ramy wszelkiego szemotu, nie pozwoli się zapakować do szufladek. Nie rozładuje go namowa, ustna czy pisemna, jak nie rozładuje go rozkaz czy wijatyk, prośba czy groźba.

Odpowiedź nasza winna brzmieć: Jesteśmy bardzo wdzięczni za gościnę, która wbrew naszej najlepszej woli, przeciąga się. Dziękujemy także za radę, ale jesteśmy ludźmi dorosłymi i każdy z nas wie, że zrobić musi to, co mu nakazuje własna wola, rozum i sumienie. Otóż i wola, i rozum, i sumienie dyktują, by zająć na razie stanowisko odmowne. Niemniej wdzięczni jesteśmy za życzliwą radę.

Gwarancja gwarancji

Wojna rzekomo skończyła się i oto żołnierze brytyjscy, amerykańscy wracają do domów. Mianowicie wracają bez żadnych gwarancji. Żołnierze polscy mają otrzymać

Jesteśmy zjawiskiem bez nazwy i bez precedensu w dziejach świata

jakąś *guarantee of safe conduct on their return*. Po cóż to i na co? Czy na przykład Kandydyk, wracając do Winnipeg lub Montrealu, czy Nowozelandczyk czy Francuz, Belg, Holender, opuszczając Anglię, otrzymuje list żelazny? Czy powstałoby w głowie tych żołnierzy domagać się jakiejś asekuracji? Albo czy ojczyzna zaprasza ich, namawia, zachęca do powrotu? Nie.

W naszym doprawdy wyjątkowym wypadku, okazało się, że nawet gwarancja „rządu” warszawskiego sama przez się nie wystarcza. Ta gwarancja musi być zagwarantowana dodatkowo jeszcze przez inne państwo – przez Wielką Brytanię. Jest to więc niejako gwarancja gwarantowana. „Rząd” warszawski najpierw grozi, zapowiada represje, potem ulega wpływowi Londynu czy Waszyngtonu i łagodnieje, mówiąc: „Wróć a nie zrobię ci nic złego! Słowo honoru!”. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że my nie ufamy temu słowu. Dziwne jednak, że nie ufa mu nawet rząd brytyjski, starając się przecież wydusić na „rządzie” warszawskim zapewnienie „osobistego bezpieczeństwa i dobrobytu” powracających żołnierzy.

Tej podwójnej gwarancji nie traktuje zresztą chyba poważnie żadna z trzech zainteresowanych stron. „Rząd” warszawski zarzuca wędkę z przynętą i wie, że gdy ryba potknie haczyk, sprawa potoczy się właściwym biegiem. Wielka Brytania gwarantuje... gwarancję. My nie wierzymy.

Nie wierzymy, ponieważ operujemy doświadczeniem i to właśnie doświadczeniem podwójnej gwarancji, a ponadto także oficerskiego słowa honoru. Szesnastu przywódców polskiego życia politycznego zaufało lekkomyślnie zaproszeniu rosyjskiemu, które poparł ówczesny brytyjski minister spraw zagranicznych. Rezultat? Wszyscy, w liczbie szesnastu, znaleźli się w więzieniu rosyjskim.

Strach nie jest motywem dominującym, jeśli idzie o naszą odmowę. Przeciwnie, raczej figuruje on na jednym z ostatnich miejsc w katalogu zastrzeżeń, ale do tej sprawy wrócimy później. Uczucie lęku, jakże zrozumiałe, odgrywa mimo wszystko pewną rolę. Nic nie stoi na przeszkodzie temu, by sto czy dwieście tysięcy ludzi wpakowano do łagrów lub więzień. Na ogólną cyfrę kilkunastu milionów więźniów w Sowietach byłaby to właściwie bagatelka. Może jeden pro... milion. Kropla w morzu.

Jeśli ktoś zaprasza mnie do domu i mówi, że nic mi nie grozi, ogarnia mnie niepokój. Rozumiem zaproszenie, ale nie rozumiem gwarancji. Mój niepokój rośnie z chwilą, gdy ktoś trzeci zachęca mnie i mówi, że naprawdę nic mi nie grozi. Po cóż tyle ceremonii?

Właściwie powinniśmy wziąć jakichś zakładników w liczbie odpowiadającej liczbie repatriantów. Tylko gdzie tych zakładników umieścić? W Anglii? Byłby znowu kłopot.

Gwarancja „rządu” warszawskiego, plus gwarancja brytyjska czy nawet i amerykańska, powiększają uczucie niepokoju. Gospodarz mówi: „Niech pan wejdzie. Nie uderzę Pana”, gwarancji zaś nie szczczędzą zachęty w słowach: „Naprawdę niepotrzebnie pan się waha. Według naszych przypuszczeń on nie uderzy pana obuchem w głowę. My rzadko mylimy się”.

Sytuację niewątpliwie komplikuje fakt, że dom, do którego mnie wzywa okupant, jest naprawdę moim domem, administrowanym przez pełniących obowiązki Polaków albo przez Polaków czasu wojny. Jakże więc mamy zareagować na zaproszenie warszawskie? Chyba tak: „Owszem, my wejdziemy, tylko najpierw niech panowie wyjdą”.

Overdrawn

Gdy ktoś w tym kraju wystawi czek bez pokrycia, naraża się na nieprzyjemności.

Owszem, my wejdziemy, tylko najpierw niech panowie wyjdą

O ile przekroczenie kredytu wynosi zaledwie kilka szylingów czy ewentualnie nawet dwa funty, bank w uprzejmym liście zwraca uwagę roztargnionemu klientowi. Zapewne w razie, gdy zbyt często powtarza się ta sama historia, recydywista traci kredyt.

Otóż gwarancja, jaką służy nam Wielka Brytania, to grube przekroczenie *balance'u*. Jeśli Wielka Brytania i Stany Zjednoczone przez długi czas oczekiwać musiały bezskutecznie odpowiedzi sowieckiej na noty swe w sprawie perskiej, doświadczenie to każe nam wątpić o skuteczności noty, którą wystąpiłyby oba rządy do Warszawy w razie represji stosowanych wobec łatwowiernych repatriantów. Bierut, naśladując Stalina, odpowiedziałby za pomocą wywiadu. Nota brytyjska byłaby czymś w rodzaju jednostronnego protokołu.

Wielka Brytania nie ma fizycznej możliwości skontrolowania, czy gwarancja będzie dotrzymana, czy też pogwałcona. Odpowiedzią na interwencję w prawie wolnych wyborów w Polsce był napad na biura Polskiego Stronnictwa Ludowego. Odpowiedzią na interwencję w kwestii

wolności prasy było jeszcze silniejsze zaciśnięcie kagańca cenzury. Jeśli Wielka Brytania w żaden sposób nie może zapewnić bezpieczeństwa i swobody działania jednemu panu Mikotajczykowi, którym się szczególnie interesuje, w jaki sposób zapobiegnie represjom wobec dwustu tysięcy żołnierzy powracających do Polski?

Nie wolno nam ani przez chwilę najkrótszą kwestionować szczerości pana ministra Ernesta Bevina, który 21 lutego bieżącego roku [1946 – red.] oświadczył, że nie może Polaków „rzucić na pożarcie wilkom”. Minister Bevin mówił pięknie i sprawiedliwie, zapewniając, że postara się o „honorowe załatwienie problemu ludzi, których Wielka Brytania użyła” w obronie własnej skóry, gdy nieprzyjaciel stał u bram Kairu. Wiemy, że panem ministrem Bevinem kierują chęci jak najlepsze, jednak „honorowe” załatwienie sprawy koniecznie wymaga, by obie strony miały to samo poczucie honoru. Otóż drugi kontrahent nie respektuje własnego słowa, jak o tym przekonali się wspomniani już przywódcy polityczni w liczbie szesnastu, których pod oficerskim słowem honoru zapraszał na konferencję wysoki oficer sowiecki i których zachęcał do zdekonspirowania się minister Eden.

Honor jest zabytkiem burżuazyjnym w państwie, gdzie na przykład strajk uznany został za broń kapitalizmu a wolne wybory za obrazę demokracji. Pan minister Bevin, w najlepszej wierze mówi: „myślę, że gdyby to wspaniałe wojsko wróciło do Polski, stałoby się ono dla Polski dobrym nabytkiem, musimy jednak mieć pewność, że po powrocie będzie ono uczciwie potraktowane”. Sprawa przedstawia się źle, jeśli w ogóle istnieją zastrzeżenia tego rodzaju, po wtóre zaś ośmielamy się zakwestionować korzyść, jaką przyniosłoby Polsce *w o b e c n y c h w a r u n k a c h* masowy powrót.

Visibility moderate, later poor

Czasem podczas zapowiedzi pogody płyną słowa ponure, takie, że odbierają ochotę do życia. Radio wypluwa z siebie terminy, jako to: *Cold, rather cold, visibility moderate, later poor, local fog, cloudy conditions, strong gale, rains at first, showers later, windy* itd.

Wydaje mi się, że, jeśli idzie o nas i o Kraj, na przekór złym warunkom, wiemy, co się tam dzieje. Wiemy niemal tyle, ile wiedzą nasi brytyjscy gospodarze, to znaczy wiemy bardzo dużo. Na przykład możemy ustalić pewien podział, selekcję, jaka występuje przy aresztowaniach – indywidualnych i zbiorowych. Wiemy także coś niecoś o technice aresztowań, która operuje przeważnie podstępem, wabikiem takim, że ofiara zgłasza się sama, otrzymawszy na przykład wezwanie, by stawiała się do pracy albo do służby w wojsku albo do jakiejś rejestracji. Człowiek uwięziony przepada, ginie w mroku.

Przyczynę aresztowania stanowi albo działalność w przeszłości albo działalność obecna, albo, wreszcie, działalność, której jeszcze nie ma, ale która może wystąpić w przyszłości. W tym ostatnim wypadku więzienie stanowi rodzaj kwarantanny profilaktycznej. W obu poprzednich wypadkach winą jest to, że ktoś należał przed wojną na przykład do „sanacji”, lub że do niej nie należał, względnie, że teraz jeszcze nie budzi podejrzeń ale kiedyś w przyszłości może przystąpić do jakiejś akcji antyrządowej.

„Kurtyna żelazna”, o której dość często mówi były premier Churchill (a któż tę kurtynę zmontował?), ma przecież, albo przynajmniej do niedawna miała, jakieś szpary; dzięki czemu wolno użyć terminu *visibility moderate*, z której korzystali dziennikarze brytyjscy, amerykańscy, francuscy i niektórzy neutralni. Oddajmy im głos!

Korespondent rządowego, lewicowego „Daily Herald”, Charles Lambert, zwiadzał

Polskę jesienią 1945 roku i stwierdził delikatnie, że kraj nasz jest, co prawda nie rządzony (*governed*), ale kontrolowany przez Rosję. Różnica *to govern* i *to control* odznacza się niezwykłą subtelnością, skoro ten drugi czasownik znaczy także „mieć nad czymś władzę”. Nie spierajmy się jednak o takie szczegóły. Cytowany korespondent, określając administrację Bieruta, woli użyć definicji „pół-dyktatura”, zamiast „pół-demokracja”. Lecz pan Charles Lambert nie jest konsekwentny. Gdy spytano go, jak to jest możliwe, by tak zwana Polska Partia Pracy, rozporządzając poparciem zaledwie ośmiu procent społeczeństwa, mogła trząść całym krajem, odpowiedział, że ułatwia to system „pół-demokratyczny”. Dodał przy tym, że wolność zebrania, prasy, radia, teatru nie istnieje, oraz że w wypadku uwięzienia nie jest konieczne oskarżenie. Liczba więźniów politycznych – to było w październiku! – wynosi około dwudziestu tysięcy. Spory odsetek (*a large proportion*) polskich oficerów to przebrani Rosjanie.

Amerikanin E. J. Williams, korespondent „Christian Science Monitor”... Ach, nie cytujmy go, ponieważ jako wystannik organu chrześcijańskiego mógłby okazać się człowiekiem stronniczym. Lepiej niech mówi na przykład Gladwin Hill, korespondent „New York Timesa”: „Oświećm pracuje tak, jak pracował za niemieckich czasów, ale wprowadzono tam pewne inwestycje, mianowicie zaopatrzone kolczaste druty w prąd elektryczny. Szpitale polskie obrabowali Rosjanie z całej bielizny i ze środków leczniczych. Rosja dostarcza Polsce dwadzieścia pięć tysięcy ton surowej bawetny, Polska musi dostarczyć Rosji czterdzieści pięć milionów metrów gotowej tkaniny. Siedemdziesiąt pięć procent węgla polskiego idzie do Rosji po cenie jednego dolara za tonę. Polacy w kraju marzną a Rosja sprzedaje ten węgiel w Europie południowo-wschodniej po cenie dziesięciokrotnie

wyższej. Porty w Gdyni i w Gdańsku zostały niemal całkowicie obrabowane z technicznych urządzeń. Terror panuje na każdym kroku, niektóre zaś oficjalne źródła przyznają, że liczba więźniów politycznych waha się pomiędzy sześćdziesięciu a osiemdziesięciu tysiącami [koniec października 1945 roku! – Z. N.]. W więzieniach są także ludzie, którzy domagają się wolności, jako obywatele amerykańscy. Protest nie pomaga. Siedzą w dalszym ciągu, choć nie ma przeciwko nim żadnego oskarżenia. Strzelanina w nocy jest rzeczą normalną. Gdy przedstawiciele «rządu» warszawskiego oświadczyli, że w Warszawie panuje spokój, zaproszono ich do domu ambasady amerykańskiej, aby z jej balkonu mogli obserwować życie ulicy. Nie skorzystawszy z zaproszenia, przyznali przeciw rację: strzelanina jest objawem normalnym, powtarzającym się noc w noc.

Francuz, Jean Dannemuller, mówiąc o położeniu robotników polskich, oświadcza, że „we Francji musiałyby ono wywołać strajk”. W Polsce jest to niemożliwe, ponieważ istnieje tam co prawda jeden związek zawodowy, ale... w rękach rządu.

Szwed „Rasmus” (pseudonim korespondenta „Svenska Dagbladet”) spotkał się w Polsce z uwagami na temat działalności tajnej policji, przy czym informatorzy twierdzili, że za czasów okupacji niemieckiej można było przynajmniej utrzymywać kontakt z uwięzionymi, co obecnie jest niemożliwe. Według tegoż samego korespondenta przeciętny mieszkaniec Polski żyje wyłącznie ze sprzedaży tego, co jeszcze mu zostało z lepszych czasów. Towary, dostarczane przez UNRRA można nabywać na czarnym rynku z rąk żołnierzy rosyjskich. Paczka papierosów (dwadzieścia sztuk) kosztuje 180 złotych, są to zaś papierosy, pochodzące z daru Amerykańskiego Czerwonego Krzyża.

Francuz, Albert Plécy, mówi o całkowitym opanowaniu armii polskiej przez ofice-

rów rosyjskich. Większość urzędników tak zwanego Ministerstwa Bezpieczeństwa nie mówi po polsku.

Francuz, A. M. Froisland, zainteresował się wyborami: trzech ministrów dało trzy różne odpowiedzi, wymieniając jako terminy: wiosnę, lato i jesień. Cenzury nie ma, są

Widać, nie każdy musi jeść w Polsce

tylko „doradcy”, którzy jednak mają władzę nieograniczoną i potrafią bezapelacyjnie usunąć na przykład artykuł o generale De Gaulle’u albo sprawozdanie ze zjazdu bi-skupów.

Przeciętny zarobek wynosi 2000 złotych na miesiąc. Para trzewików kosztuje 6000 złotych, za kurs dorożką płaci się 200 zł. Nikt nie wie, ile banknotów wypuszczono, to pewne jednak, że „rząd” pokrywa wszystkie wydatki, drukując coraz to nowe serie.

Korespondent „Spectatora” H. D. Walston zaznacza, że prywatny robotnik zarabia do 10000 złotych miesięcznie, podczas gdy robotnik „rządowy” 1800 złotych. Oficjalna cena za litr mleka wynosi jeden złoty, na czarnym rynku 15 złotych. Kilogram wołowiny kosztuje nominalnie jeden złoty, faktycznie 200 złotych. Kartki, kartki i kartki na wszystko ale nie dla wszystkich, są bowiem pewne kategorie mieszkańców, którzy w ogóle nie otrzymują kartek, podczas gdy inni dostają kartki ale według rozmaitych, szczególnych norm. Widać, nie każdy musi jeść w Polsce.

Przytoczone wyżej głosy obcych dziennikarzy malują stosunki w Polsce z jesieni 1945 roku. Od tego czasu nastąpiło ogromne pogorszenie, co zaś ważniejsza, ilość wojsk rosyjskich w Polsce nie tylko nie zmniejszyla się, ale ostatnio, w związku z wycofywaniem pewnych garnizonów z Niemiec, wzro-

sta poważnie, ciągle zaś napływają nowe siły ze wschodu.

Konserwatywny londyński „Sunday Times” (z 17 lutego bieżącego roku) szkicu-je następujący obraz: „Polska jest krajem, w którym panuje dziś największy w Europie zamęt. [...] Ludność, która przez lata wojny marzyła o demokratycznej Polsce, została po niewoli wtrącona pod władzę najsilniejszego w świecie systemu policyjnego. [...] Więzienia są tak dalece przepetnione ludźmi opornymi wobec nowego porządku, że nawet prezes rady ministrów przyznaje, iż są pełne. [...] Pod kusą przykrywką przebrania się w polskie mundury rosyjscy oficerowie rządzą policją, bezpieczeństwem i armią. [...] Niedawno wystano członków policji bezpieczeństwa do jednej ze szkół państwowych, gdzie rozpytywali oni starszych uczniów o to, czy sposób nauczania, przyjęty przez profesorów, jest w ich [to jest uczniów – Z. N.] mniemaniu «demokratyczny»”.

Major Beamish, uczestnik parlamentarnej wycieczki do Polski, mówiąc o ogromnej ilości wojska sowieckiego w Polsce („Daily Telegraph” z 26 lutego br.), stwierdza: „Dyscyplina tych wojsk jest zła i aczkolwiek w wielu opowiadaniach o złym prowadzeniu się wojsk rosyjskich jest przesada, jednak miałem możliwość stwierdzić wypadki gwałcenia kobiet, rabunku z bronią w rękę, pijaństwa i innych wykroczeń”. Major Beamish był w Polsce kilka dni.

Terror rosyjski w Polsce nie tylko trwa ale wzmaga się, o czym głośno i coraz głośniej w prasie brytyjskiej czy amerykańskiej. Ostatnio, w sposób dyskretny lecz znamienity, wspomniął o tym jeden z ludzi współodpowiedzialnych za nowy ład w Polsce, Winston Churchill, będący według propagandy rosyjskiej i według definicji Stalina, nowym wcieleniem Hitlera.

Widoczność, do niedawna umiarkowana, teraz staje się uboga.

Nie kieruje nami strach

Polska jest krajem nędzy, głodu i chorób. Wiemy o tym, ale nie odstrasza nas nędza. Przeciwnie, każdy z nas doskonale rozumie, że jeśli Bóg pozwoli wrócić, wrócimy do ruin tego, co Polska zdołała zbudować w ciągu dwudziestu lat niepodległości. Cały dorobek został przekreślony. Zrównał się tam człowiek zamożny z nędzarzem i jednako głodni, w jednakich chodzą łachmanach. Jednak gryzą ich wszy, jednako dokuczają mróz, jednako toczy choroba.

Nie boimy się tej nędzy. I nie boimy się chwilowego zrównania w dół, pod warunkiem, aby w Polsce zapanowała wolność stopniowego podnoszenia się w górę. Jeżeli udziałem naszym przed wojną były jakieś

Chcielibyśmy pracować, urobić sobie ręce po łokcie

przywileje, jeżeli posiadaliśmy jakiś majątek, jakieś stanowisko, dzisiaj wiemy, że to wszystko należy do przeszłości. Powtarzamy słowa Mickiewicza (1955 VI: 20), choć niezbyt ściśle stosują się do nas: „Pielgrzymie polski, byłeś bogaty, a oto cierpisz ubóstwo i nędzę, abyś poznał, co jest ubóstwo i nędza; a gdy wrócisz do kraju, abyś rzekł: Ubodzy i nędzarze współdziedzicami moimi są”. Nie cierpimy tu „ubóstwa i nędzy” w znaczeniu fizycznym, ale poznaliśmy czym jest moralne ubóstwo i nędza pobytu na obcej ziemi. Chcielibyśmy ubogimi być i nędzaczami, lecz na ziemi własnej. Pragniemy dzielić ubóstwo i nędzę z tymi, którzy pozostali w Polsce.

Obawa przed nędzą byłaby pobudką nikczemną i podłą w najwyższym stopniu. Odrzucamy ten motyw. Nadto, im dłużej musimy żyć na cudzym chlebie, tym większy chwyta nas głód, gdy myślimy o chlebie polskim. Żaden inny w świecie nie nasyci

nas tak, jak polski. Jesteśmy głodni tego właśnie chleba, na którego bochenku matka nożem robi znak krzyża. Ten chleb pachnie. On mówi. On – jedyny w świecie – jest nasz.

Także i obawę przed ciężką pracą trzeba uznać za pobudkę niską i niegodną. Nie ta obawa kieruje nami, gdy mówimy, że na razie wrócić nie możemy. Praca? Ależ dręczycy nas świadomość, że wszystko co robimy tu, jest pozbawione celu, jeśli nie przyspiesza dnia powrotu. Chcielibyśmy pracować, zrobić sobie ręce po łokcie, byle terenem tej pracy była Polska. Będąc poza Polską, jesteśmy w próżni. Od chwili zakończenia działań wojennych uczucie tej pustki rośnie z dnia na dzień. Jest nam źle bez Polski, jest nam coraz gorzej. Niechże więc nikt nie namawia nas do powrotu, bo w ten sposób niepotrzebnie zwiększa nasz ból i naszą tęsknotę. Każda namowa to wiwisekcja. W tym kraju co krok spotykamy afisze, wzywające do zwalczania wiwisekcji i na tych afiszach widać zazwyczaj fotografię pięknego, rasowego psa o smutnych, zatawionych oczach. Namowa do powrotu jest niepotrzebną wiwisekcją, stosowaną bezkarnie wobec ludzi. Ona dobiera się do każdego mięśnia i do każdego nerwu, jej nóż zagłębia się w mózgu i w sercu. Czy nie dość boli to, że nie możemy wracać? Czy konieczną jest rzeczą podwajając cierpienie i mówić: „Wracajcie. Radzimy wam z duszy”?

Nie wstrzymuje nas lęk przed zmianą stosunków politycznych i społecznych. Nie obawiamy się, że Polska, do której może Bóg pozwoli wrócić, będzie zbyt czerwona. Była była Polską, ale Polską prawdziwą, wrócimy bez uczucia strachu. Wiemy, że chociaż czerwona, będzie ona mimo wszystko biało-czerwona. Polska ludowa? Ależ tak, byle rzeczywiście lud, mianowicie lud polski, zdecydował o jej ustroju. Lud? Ależ doskonale, ponieważ „lud” to jest wolność, to jest swoboda, to jest wola i sumienie, to możność

nieskrępowanego wyboru. Przecież wszyscy jesteśmy częścią ludu – narodu. I czegoż to mamy obawiać się? Narodu?

Cud jedności

„Lud” czy „naród” w żadnym razie nie jest jednolitym blokiem wyborczym, mianowicie blokiem tak pozbawionym wszelkich odcieni, jak to sobie wyobrażają i do czego dążą nowi okupanci, chcąc za pomocą swych narzędzi nastroić Polskę całą na jeden ton. Jednolity blok wyborczy jest zaprzeczeniem pojęcia „lud” i pojęcia „naród”.

Ci, którzy pod groźbą przemocy chcą wprowadzić zasadę jednolitości, sięgają po najgorsze wzory z bardzo niedawnej i z bardzo dawnej przeszłości. Potępwszy BBWR czy Ozon, pragną prześcignąć je, zostawić je

Kraj nasz cofa się w rozwoju o kilkaset lat

daleko w tyle, osiągnąć idealne „zglajchszaltowanie” całego społeczeństwa, przeorać całe pole jednym pługiem i przejechać jedną broną, by nie ostał się nawet najmniejszy ślad zarówno partii, jak grup czy jednostek. Rzecz w tym, by sto procent wyborców głosowało na jedną i tę samą listę, ściśle według sowieckiej recepty.

„Zważyć wprzód trzeba, że rzecz nigdy nie podobna jest, aby zawsze i aby wszyscy zgodzić się mogli na jedno w interesach Rzeczypospolitej” – pisał przed dwustu laty mądry ksiądz Stanisław Konarski (2005: 131), zwalczając zasadę jedności. „Gdyby ludzie [...] zawsze rozumieli jedno, zawsze zgodzili się na jedno wszyscy [...] toby ludzie być ludźmi przestali” (tamże). Otóż okupanci obecni, domagając się jedności, dążą właśnie do tego, by ludzie ludźmi być przestali.

Postuchajmy co mówi Konarski, człowiek, który „odważył się być mądry”, człowiek,

który ukochał Polskę i wolność prawdziwą ponad wszystko: „Taka bowiem jednomyślność i zgoda jest całe nad ludzką naturę [...]. Podobniej słońce głosem ludzkim drugi raz cofnąć, niż żeby kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy zawsze we wszystkich interesach i okolicznościach [...] jednakowe zawsze [...] mieli zdanie, jeżeli to, mówię, jest niepodobieństwo nad niepodobieństwa wszystkie, cóż to za kara boska, cóż to za przepuszczenie z nieba na cały naród, że nasz rząd cały, stałość i szczęście Rzeczypospolitej, nasze życie i fortuny na tej jednej jednomyślenia wszystkich chimerze [...] zakładamy?” (tamże: 131, 134–135).

Według „rządu” warszawskiego nie kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy ludzi, ale dwadzieścia pięć milionów musi, pod grozą zastosowania siły, udawać jednomyślność. W ten sposób kraj nasz, zamiast iść naprzód, cofa się w rozwoju o kilkaset lat. „Bóg sam tedy, śmieie mówić mogę, mocą swoją ordynaryjną, którą światem rządzi, tego uczynić nie może, aby wszyscy ludzie zawsze byli zdania jednego i jednej woli; bo, ponieważ każdemu dał wolność, toć wolne oraz każdemu dał zdanie; musiałby więc wprzód znieść ludziom wrodzoną im własność, niżby ich do jednostajnego zawsze, bez nadwrodzonego cudu, przyprowadził chcenia. Może to, ale cudem wszechmocności swojej, nie, jakom rzekł, ordynaryjną mocą” (tamże: 135).

Tego to właśnie cudu pragnie dokonać „rząd” warszawski. Zgłaszając chęć powrotu w obecnych warunkach, zgadzamy się z góry na cud absolutnej, stuprocentowej, bezwzględnej jednomyślności, która jest jednomyślnością trzody.

Precedens wojska napoleońskiego

Wspomnieliśmy, że jesteśmy zjawiskiem, które nie ma precedensu w dziejach świata, jednakże powrót wojska do kraju

ma precedens w historii Polski. Warto bodaj z grubsza odświeżyć ten epizod w pamięci, zwłaszcza, że historia to wielka nauczycielka życia, która daje nam doświadczenie.

Sto trzydzieści dwa lata temu, w 1814 roku, powrócili do Polski żołnierze tutajjący się po świecie z Napoleonem. Mieli za sobą kampanie: włoską, austriacką, hiszpańską, rosyjską i niemiecką. O tych żołnierzach

„Rząd” warszawski zdecydował się usunąć koronę

śpiewamy w *Warszawiance*, że „ich boje wieńczył Kremlin, Tybr i Nil”, znaleźli się bowiem w szeregach powracających i tacy, którzy pod Sułkowskim dotarli aż do Egiptu. Ich książeczka służby przedstawiała się wspaniale, na ich piersi błyszczał krzyż Legii. Dokonywali cudów męstwa. Trzonowych repatriantów stanowiły niedobitki dziewięćdziesięcioletniej armii, którą Księstwo Warszawskie odpowiedziało na apel Napoleona.

Wróciło niespełna dziesięć procent. A reszta? Nie mogła wrócić. Reszta została na przeróżnych pobojuwiskach, nad brzegami Berezyny czy Elstery czy innych rzek. Zachód zawiódł owych żołnierzy polskich tak właśnie, jak zawiódł nas obecnie. Uwierzyli więc zachętom i kokieterii cara Aleksandra I, który otworzył wrota Polski szeroko. Różnica sytuacji polega na tym, że Polacy ponieśli klęskę razem z Napoleonem, dziś zaś, *de nomine*, znajdują się w obozie zwycięskim. Różnica dalsza polega na tym, że nikt nie proponował im, by wracali za pośrednictwem konsulatów jako cywile. I nikt nie próbował odebrać im prawa do nazwy żołnierzy polskich. Nikt nie kwestionował faktu, że walczyli, podczas gdy dzisiaj „rząd” warszawski i „marszałek” Żymierski nie chcą wiedzieć na przykład o tym, że lotnictwo polskie było siłą realną, a nie

wymyśłem londyńskiej propagandy. Gest cara Aleksandra I był, tak początkowo zdawało się – szczerzy. Mówił: „Wracajcie”. Mówił to bez jakichś zastrzeżeń, bez gróźb. Co więcej umiał nadać swym zachętom akcent takiej serdeczności, że uwierzyli nie tylko Polacy ale nawet, dyplomaci europejscy z samym Talleyrandem na czele. Nikt nie gwarantował gwarancji rosyjskiej.

Analogia szwankuje również o tyle, że ci żołnierze wracali nie jako zdemobilizowani. Po wtóre żaden z nich nie otrzymał listu z zachętą do powrotu. Nie zostali podzieleni z góry na kategorie przestępców. Uwierzyli słowu carskiemu. Reszty dokonała tęsknota za krajem. Wracali tedy, jak się rzekło, nie za pośrednictwem konsulatów, ale z bronią w rękę i z rozwiniętymi sztandarami. Wracali z pieśnią i witała ich pieśń w każdym mieście polskim.

Analogia staje się jednak wyraźna, gdy uwzględnimy, że wówczas tak zwane Księstwo Warszawskie było już fikcją, że w Polsce rządili Moskale, że kraj, biedny i zrujnowany po tylu wojnach, oddawać musiał wszystko na łup żołnierzy rosyjskich, którzy jednak, to trzeba z góry przyznać, choć łupieżcy i wandale, przecież od dzisiejszych różnili się tak, jak dawne, rycerskie, romantyczne wojny różnią się od wojny dzisiejszej.

Wypada zrobić mały nawias. Polscy żołnierze w 1814 roku wracali z rozwiniętymi sztandarami, na których figurował orzeł biały w koronie. Dziś „rząd” warszawski zdecydował się usunąć koronę, jako symbol faszystowski czy niedemokratyczny. Czyniąc to, „rząd” warszawski wystawił sobie samemu świadectwo ubóstwa umysłowego. Pomysł pozbawienia orła korony pojawia się po raz czwarty w ciągu niespełna wieku. Najpierw zdarzyło się to w epoce Wiosny Ludów w 1848 roku, było zaś oznaką... żałoby narodowej. Po raz drugi zniesiono koronę

podczas powstania styczniowego, gdy do władzy doszedł radykalny, czerwony rząd narodowy, w którego składzie znaleźli się ludzie młodzi, niedoświadczeni i zbyt zapaleni, ludzie, których Traugott po prostu wyrzucił

Pierwszy stanął w stolicy pułkownik Brzechwa

17 października 1863 roku. Pieczęć z orłem bez korony okazała się pomysłem kiepskim i nietrwałym. Po raz trzeci, znowu na bardzo krótko, orzeł utracił koronę w 1918 roku. Obecnie uznano za wskazane strącić ją raz jeszcze, choć wyraża ona nie monarchiczność Polski, ale Jej suwerenność. Symbol aż nadto wymowny.

Żołnierze napoleońscy, wracając do Polski, nie łamali przysięgi. Przysięga żołnierza polskiego brzmi:

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmocnemu w Trójcy Świętej Jedynemu być wiernym Ojczyźnie mej Rzeczypospolitej Polskiej, sztandarów wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na straży Konstytucji i Honoru Żołnierza Polskiego, Prawu i Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wykonywać, tajemnic wojskowych strzec, za sprawę Ojczyzny mej walczyć do ostatniego tchu w piersiach i w ogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać jak prawy żołnierz polski. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Męka. Amen”.

Amen! Ktoś, kto słucha „rządu” warszawskiego, nie jest wierny Ojczyźnie swej, Rzeczypospolitej Polskiej. Porzuca sztandar, na który patrząc, przysięgał. Zapiera się konstytucji, wyrzeka się prawa. Staje się uległy „prezydentowi” Bierutowi, narzuconemu przez Rosję; „prezydentowi”, który nie jest obywatelem polskim, ale rosyjskim. Nie słucha rozkazów swych dowódców i przełożonych, poddaje się zaś rozkazom

rosyjskich dowódców i rosyjskich, a przebranych w mundury polskie, przełożonych. Czy potrafi strzec „tajemnic wojskowych”? Zależy to od siły i wytrzymałości, jaką wykaże podczas śledztwa, po przybyciu do kraju. Rozwiązanie przysięgi nie leży w mocy ani „rządu” warszawskiego, ani w niczyjej innej mocy. Amen.

Żołnierze napoleońscy nie musieli toczyć walki z własnym sumieniem i z honorem. Wrócili. Witano ich tak, jakby powitano dzisiaj żołnierzy polskich, gdyby wracali tak, jak wracać winni. Miasta, miasteczka, wsie najmniejsze, zahuczały od wiwatów, od pieśni, rozszłochały się szlochom serdecznym. Pierwszym etapem był Poznań, drugim Warszawa.

Siły przednie ciągnęły z tych stron, które i dzisiaj są miejscem postoju żołnierza polskiego, mianowicie z Hamburga. Pierwszy stanął w stolicy pułkownik Brzechwa na czele oddziału idącego w sto koni, które także nie czekały na jakiś plebiscyt czy na ankietę. Zaraz po przybyciu zdarzył się wypadek właściwie normalny. Oto po Warszawie snuło się mnóstwo żołnierzy rosyjskich, zachowujących się jak u siebie w domu. Jeden z nich, artylerzysta jakiś, zaczepił i zwymyślał jednego z polskich repatriantów, który zareagował dość energicznie. Jak pisze w swych pamiętnikach Julian Ursyn Niemcewicz: „dał mu w policzek tak silnie, iż Moskał zatoczył się, padł głową [...] i od uderzenia o obręcz żelazną, padł trupem” (1871: 182). Koniec był żalostny, ponieważ Moskale schwyтали owego Polaka, zakuli w kajdany i wlekli przez ulice. Biedak błagał przechodniów, by go uwolnili.

Ten charakterystyczny obrazek nie wpłynął ujemnie na dalszy rozwój zdarzeń. Przeciwnie, 9 września 1814 roku w paradzie wielkiej weszło w bramy Warszawy „sześć tysięcy pięćset ludzi, pysznie ubranych i w przedziwnie pięknej postawie. Miano-

wicie: 800 gwardii, dwa pułki ułanów po 500 koni każdy, 800 krakusów czyli kozaków naszych, piękny pułk pieszy i oddział artylerii konnej z szesnastu działami”.

Znając Warszawę możemy sobie wyobrazić jej nastrój. Wiwaty, krzyki, głos wszystkich dzwonów, naręcza kwiatów, radość i łzy. Przecie to swoi wracają po latach do miasta, które od dawna oglądało tylko zniechęconych okupantów! I na odwrót: żołnierze tak dawno nie byli w Polsce! Czyż więc dziwić się, że płakało miasto i że płakali ze szczęścia żołnierze. A szli, jak się rzekło, w paradzie, z bronią, ze sztandarami, szli po kwiatach, po szarfach i wstążkach, którymi warszawianki zarzuciły bruk ulic. Myślmy o tym, i aż nam w uszach dzwoni, aż nam serce bije, aż brak nam tchu w piersiach. Szczęśliwi! Jak szczęśliwi!

Pewien drobny kłopot wystąpił w związku z zakwaterowaniem tych żołnierzy. Miejsca w Warszawie, jak zresztą i na prowincji, nie było, ponieważ wszystko co się dało zając, zarekwirowali Rosjanie dla siebie. Więc po tej paradzie, nasi poszli... do lasu, pod Marymont i sporo nocy przyszło im biwakować oraz... głodować. Rosjanie jakoś nie pomyśleli o zapasach dla Polaków i nie kwapili się z opuszczeniem Warszawy i całego Księstwa. Wreszcie, przed samym odmarszem, podpalili stolicę, by ją przy tej sposobności do cna obrabować. Ten sam los był udziałem innych miast i wsi.

Początek niezły. Rzeczy gorsze i najgorsze miały nastąpić niebawem i nie długo przyszło czekać na ich rozwój. Szło o to, by z wojska polskiego zrobić jak najszybciej wojsko rosyjskie. A to byli Polacy, ludzie żywi, żołnierze, którzy tłukli się długo po świecie, napatrzyli się wielu sprawom, zasmakowali w służbie, gdzie, jak pisze inny pamiętnikarz, pułkownik Franciszek Gajewski (1915), „honor i miłość wodza łączyły ścisłym ogniwem wszystkich ze sobą, gdzie

żołnierz był prowadzony honorem i uważany jako człowiek”. Teraz, nagle, dostał się w tryby służby „gdzie szpiegostwo wzajemne kolegów między sobą było systematem,

Donosiciele, szpicle i fagasy rosyjskie

gdzie niewolnicze postuszeństwo i demoralizacja należały do prawideł wykształcenia, gdzie kije były bodźcem karności, gdzie kradzież była uważana jako cecha chytryści, gdzie guzik, porządnie nie zapięty, pociągał niemal za sobą karę śmierci”.

Aby urozmaicić ten ponury obraz, zaryjmy dla odmiany jeszcze raz do Niemcewicza: „Książę Konstanty wprowadził krój mundurów, niewolniczą postawę, drobnosci moskiewskie w musztrze i obrotach, słowem chciał żywych, pełnych ducha ludzi naszych przemienić w wyprężone nieruchome maszyny” (1871: 227). Oczywiście, wszystkie nominacje miały na sobie pieczęć carską i w imieniu cara były wydawane. Acha, jeszcze jedno: żołnierze napoleońscy brali ciałkiem przyzwoity żołd, który po powrocie do Kraju zmniejszono im do czterech groszy.

Sytuacja moralna tego wojska była tragiczna, pogarszała się zaś z dnia na dzień. Wszyscy wyżsi oficerowie, ludzie honoru, wzięli dymisję. Pozostała hołota, której nie brak i dzisiaj. Ludzie kompromisu, sybaryci, karierowicze bez kręgosłupa, narzędzia demoralizacji, donosiciele, szpicle i fagasy rosyjskie. Przeciwstawilo im się młodsze pokolenie oficerów z Łukasińskim na czele, zaczęła się konspiracja i zaczęły się procesy przeciwko tym oficerom.

Wszystko już było. Już wtedy Rosjanie stosują tortury, już wtedy istnieją procesy pokazowe, już wtedy wprowadzono system izolacji oskarżonych, których Konstanty kazał trzymać w jakichś *ad hoc* skonstruowanych klatkach. Zsyłka w głąb

Rosji, zamknięcie dożywotnie w więzieniach szlisserskich czy innych, kara cielesna w stosunku do żołnierzy, policzkowanie oficerów, zdzieranie im szlif na placu musztry, likwidacja pisma „Orzet Biały” itd.

Wojsko to, walcząc pod Napoleonem, miało przed sobą cel, w który, choć wielokroć oszukane, wierzyło. Ono miało ideę, miało program, biło się o wolność. Po powrocie do Polski zaczęło się rozkładać moralnie, czemu sprzyjała także i ta okoliczność, że owych żołnierzy-rewolucjonistów, walczących w myśl hasła „wszyscy ludzie wolni są braćmi”, zamierzał car użyć do stłumienia buntu Czerkiesów albo też do wyprawy na ogarniętą ogniem ruchów wolnościowych Belgii czy Francji. Taki to miał być koniec, taki epilog bohaterskiej epopei.

Cokolwiek jednak datoby się powiedzieć o doli wojska, które wróciło, faktem jest, że na jego czele nie stanął przestępca, skazany przez sąd karny, w stylu dzisiejszego „marszałka” Żymierskiego. Byli zdrajcy, przechery i oczajdusze, nie było Żymierskiego. Zatrzymawszy się dłużej nad epizodem z 1814 roku, warto wspomnieć, że znalazł się pewien generał, co prawda nie związany z gwiazdą napoleońską, który stanowczo sprzeciwił się idei powrotu, choć zachęty – i osobistej nawet, ze strony cara – nie brakło. Postanowił zostać za granicą. Był zdania, że „tylko przywrócenie kraju do Dźwiny i Dniepru mogłoby wytworzyć równowagę i przyjaźń stateczną z Rosjanami” (Korzon 1917). Ponadto, nie przestawał twierdzić, że „mały kraj ze szczupłą garstką ludności nigdy nie zdoła obronić się chytryści, przewadze i przemocy Rosjan” (tamże).

Miał słuszną. Wstrzymał się z wyjazdem i wrócił do Polski dopiero w trumnie. Ale wrócił prosto na Wawel, gdzie spoczął obok królów, on, „ostatni rycerz i pierwszy obywatel na Wschodzie Europy”, Tadeusz Kościuszko.

Argument pro

Myśl o powrocie nie opuszcza nas ani na chwilę najkrótszą. Wracać – nie wracać? To jakby przeciągająca się bez końca gra w orła i reszkę. Są chwile, że przecież jesteśmy skłonni postawić wszystko na reszkę. Dzieje się to szczególnie wtedy, gdy przeglądamy prasę wychodzącą w Kraju. Oczom naszym stęsknionym narzuca się obraz ponętny i złudny, a mający wiele, wiele pozorów rzeczywistości. Tak samo chcemy stawiać na reszkę, gdy przyjdzie do nas, rzadki, szczęśliwy list.

Ci ludzie w Polsce jednak żyją. Co więcej, okazują zdumiewający rozmach, nie tracą wiary w zmianę, wierzą święcie, że musi ona wkrótce nadejść. Pracują, chcą dźwignąć dom z ruiny. Byle wiadomość „stamtąd” podnieca naszą wyobraźnię, dodaje bodźca tęsknocie, sprawia, że wszystko leci nam z rąk, że poddajemy się gorączce powrotu. Podniętą jest na przykład jakiegolwiek ogłoszenie. Oto ktoś, jakaś fabryka, jakieś biuro, jakiś sklep, szuka pracowników. Oto grają teatry. Oto rosną jakieś szkoły, zaczynają działać uniwersytety. Marusarz zdobył mistrzostwo Tatr. Kołczyński znokoutował jakiegoś rywala. Wychodzi pismo takie a takie. Most ten i ów został oddany do użytku publicznego. Uruchomiono jeszcze jedną linię tramwajową. Wystawa obrazów ściąga tłumy. Poszukuje się pracowników murarskich do odbudowy zbombardowanych domów. Mechanik dostanie wysoką pensję. Biblioteki otwarte. Zjazd inżynierów. Wybory w związku aptekarzy. „Cracovia” pokonała „Bytom”. Konkurs na polską nazwę *trolleybusu*. Dancing w „Jaskółce”. Felieton Wiecha. Koncert orkiestry Polskiego Radia.

Nas tam nie ma. Rodzi się jakaś, powiedzmy, „rzeczywistość”, wobec której nie możemy bez końca zachowywać postawy przeczącej. Ona jest. Ludzie muszą żyć. Jako

Polacy umieją właśnie w najgorszych warunkach wydobyć z siebie maksimum energii i pomysłowości. My w warunkach nieopisanie lepszych, wręcz idealnych, zdobyliśmy się na bardzo mało. Kadrówka zaleszczycyka nie była kadrówką elity, przeciwnie, w jej skład weszły elementy mało wartościowe. Nauka? Ci uczeni, którzy przetrwali piekło Oranienburga, przedstawiają sumę wiedzy o wiele wyższą, niż inni, przebywający poza Polską. Sztuka? Tam są najlepsi malarze, najlepsi literaci, najlepsi muzycy, najlepsi aktorzy. Politycy? Działacze? Przecież w tym ośrodku, jaki skryształizował się najpierw w Paryżu czy w Angers a następnie tu, w Strattonie, jak doświadczenie dowiodło, nie ma było sybarytów, chorągiewek na dachu, ludzi, na których wystarczyło gwizdnąć, a polecili jak w dym, gdzie poczuli szansę kariery. A tam, w Kraju, poza nielicznymi wyjątkami, jest wielkość ducha, jest postawa niezłomna, którą umiano zachować i wobec Niemców, i wobec Rosjan. Nie sądźmy Kraju na podstawie obserwacji tych ludzi, którzy przyjeżdżają z Warszawy jako agenci, mniej czy bardziej zakonspirowani. Reprezentują oni przecież nie Kraj, ale „rząd” warszawski. Nie Polskę, ale Bieruta. Jest rzeczą znaną, że wielu, wielu Polaków odmawia wyjazdu, nie chce bowiem wejść w służbę, nie chce włożyć sobie obroży i namawiać Polaków poza granicami, by także zdecydowali się na tę obrożę. „Stamtąd” przyjeżdżają „tutaj” typy katylinarne, jak, na odwrót, „stąd” jadą „tam” przeważnie jednostki, które od dawna snują się po Londynie w ciemności, stroniąc od miejsc, gdzie mógłby ich spotkać afront.

„Rzeczywistość” w Kraju, choć znamy ją z fałszywego zwierciadła prasy, przecież istnieje. My w niej nie bierzemy udziału i to nas najbardziej boli. Wydajemy się sobie samym obcy, odrąceni, winni. Grając w orła i reszkę, przypominamy Papkina z *Zemsty* Fredry, który lekceważy zapowiedź represji

ze strony Cześnika na wypadek, gdyby jemu, Papkinowi, stała się jakaś krzywda. Cześnik gwarantuje, że sprawi kurtę temu, który ośmieli się podnieść palec na Papkina, Papkin zaś mówi:

Diabliż mi tam po tej kurcie

Jak zadyndam gdzieś na furcie!

(Fredro 1956: 65).

Sądzę, że to uczucie upokorzenia z powodu nieobecności musi być wspólne wielu spośród nas. Nie dzielimy z Nimi biedy, głodu, nie dzielimy pracy. Jesteśmy w powietrzu, właściwie jesteśmy nigdzie. Oni są w Polsce, w każdym razie na ziemi polskiej. My, odcięci od tej ziemi, tracimy siłę. Jesteśmy na huśtawce nieustannej, która na chwilę podnosi nas wysoko, by z jeszcze większą szybkością zjechać z nami w dół. Męcząca zabawa. Męczące życie od jednej do drugiej debaty w Izbie Gmin, od jednej do drugiej mowy ministra Bevina. Najbardziej przecież wyczerpuje nas i dręczy świadomość nieobecności.

Ostrożnie z decyzją!

Nie zawsze jednak nieobecni nie mają racji. Bywają wyjątki od tej reguły. Jeśli Polacy w kraju – myślę o Polakach prawdziwych – na przekór przemocy tworzą jakąś „rzeczywistość”, sił dodaje im wiara, że sprawa Polski nie jest przesądzona definitywnie. Świadectwo prowizorium widzą w naszej obecności poza granicami kraju. Dopóki Polskie Siły Zbrojne istnieją, dopóty sprawa Polski nie jest jeszcze całkowicie wewnętrzną sprawą Rosji. Gdyby nie istnienie tych Polskich Sił Zbrojnych – nawet zagrożonych demobilizacją – przestano by o Polsce w ogóle mówić. Rzeczywistość dzisiejsza stałaby się rzeczywistością na długie, długie lata.

Klamka jeszcze nie zapadła. Na pewno wyobraźnia i nasza, i ludzi w kraju gałopuje, przyspieszając rozwój wypadków, które przecież i tak przybrały tempo wcale szybkie. Argument „pro” może okazać się

Świadectwo prowizorium widzą w naszej obecności poza granicami

lada chwila argumentem „contra”. Masowy powrót Polaków z zagranicy, powrót niestawny, bez broni, bez sztandarów, powrót, będący odwrotem, stworzy sytuację tragiczną, wyrażającą się w przyjęciu prowizorium. Negacja wobec hasła powrotu jest aktem pozytywnym, który wymaga siły woli.

Wypadki mogą prześcignąć naszą wyobraźnię, mogą nas zaskoczyć. Decyzja masowego powrotu oznaczałaby uznanie nikczemnych uchwał jałtańskich. Kto wraca w obecnych warunkach, ten milcząco godzi się na utratę Lwowa i Wilna, ten uznaje linię Curzona, a raczej linię Ribbentropa i Mołotowa, za sprawiedliwą. Do niedawna były premier Churchill twierdził, że linia ta jest słuszna i rozumna, dzisiaj mówi inaczej, określając ją jako zysk Rosji. Niewątpliwie druga definicja jest ściślejsza.

Tak zwana Krajowa Rada Narodowa jednogłośnie – jakże mogłoby być inaczej! – zatwierdziła ten nowy rozbiór Polski, ale to nie znaczy, by go zatwierdził naród, który ma w tej chwili zakneblowane usta. Tym bardziej my winniśmy krzyknąć na cały świat, krzyknąć aż do pęknięcia piersi. Odmowa powrotu jest właśnie krzykiem, krzykiem bolesnym, wydartym z głębi serca. Wracając teraz, oddajemy Lwów, miasto najwierniejsze z wiernych, które należy do Polski od sześciuset lat. Oddajemy Wilno, miasto święte i bohaterskie. Oddajemy Nowogródek i oddajemy Krzemieniec. Oddajemy to, co stanowi połowę ciała Polski i całą Jej duszę.

Kto wraca, przyczynia się do wykolejenia Polski z tej drogi, którą szła nasza historia i nasza kultura od lat tysiąca. Należymy każdą myślą naszą do Zachodu, jesteśmy jego częścią składową, jego twórczym czynnikiem. Zgoda na dzisiejsze warunki spycha Polskę, po raz pierwszy w jej dziejach, na drogę, która prowadzi do zguby narodu. Pokój ryski zostawił poza granicami Polski 1,2 miliona Polaków, których liczba w ciągu lat osiemnastu zmniejszyła się o jedną trzecią. Linia nowego rozbioru Polski oddaje Sowiecom z górą połowę, bo 51,6 procent terytorium Rzeczypospolitej. Oddaje im w niewolę – cyfra przedwojenna – 13,4 milionów ludności. Cała Kanada ma zaledwie nieco powyżej dziesięciu milionów mieszkańców, czyli o trzy miliony mniej niż terytorium, które Jajta oddała Rosji, uważając tę transakcję za bagatelę. Liczba skazańców z terytorium polskiego równa się jednej dziesiątej części ludności Stanów Zjednoczonych.

Wracając, zatwierdzamy ohydny sprzedaż. Przed tą wojną po polsku mówiło w Wilnie 66 procent mieszkańców, po rosyjsku 3,2 procent, po litewsku 1,9 procent, po białorusku 0,6 procent, po rusku (ukraińsku) 0,1 procent. Jeśli idzie o Lwów, postużyć się można cyframi pochodzenia niepolskiego, ale ukraińskiego. Wychodzące pod opieką Niemców „Krakiwskie Wisty” ogłosiły pod koniec 1942 roku opierającą się na statystyce kart żywnościowych cyfrę 45 procent Polaków, Ukraińców zaś ledwie 18,5 procent. Wedle źródeł niemieckich (bedeker „Das Generalgouvernement”) Lwów podczas okupacji a po przyłączeniu gmin podmiejskich miał 366 tysięcy, czyli 87,1 procent Polaków, Ukraińców – 42 tysiące, czyli 10 procent.

Z Małopolską Wschodnią oddajemy 70 procent całej polskiej produkcji ropy i około 90 procent gazu ziemnego. Oddajemy złoża soli potasowej, należące do najbogatszych w Europie. Lecz ten potas to tylko

jedna z soli ziemi, godząc się zaś na utratę Wilna i Lwowa, zaprzepaszczyliśmy na długie lata sól ducha, bo ludzi, bo Polaków najlepszych, najwierniejszych, tych, z których wywodzi się i Kościuszko, i Traugutt, i Piłsudski, i Paderewski, i Mickiewicz, i Słowacki. Jakże mówilibyśmy po polsku, gdyby nie ci poeci? Jak uboga byłaby nasza pieśń, gdyby nie Moniuszko?

Kto decyduje się na powrót, ten zadaje straszliwą krzywdę ziemiom, które będąc częścią terytorium Rzeczypospolitej, stanowią o całej duszy narodu.

Kto mogąc wytrwać, decyduje się na powrót, ten wytrąca Polsce broń z ręki.

List dobrej woli

Do 20 marca operowaliśmy domysłami raczej, nie znając wymiaru kar, jakie „rząd” warszawski przewiduje dla tych, którzy walczyli przeciwko Niemcom w czasie, gdy Rosja stała po stronie Hitlera. Deklaracja warszawska otwiera całą bezdenń głupoty, obnaża z rozbrajającą naiwnością prawdziwe intencje chwilowych władców naszego kraju. Ten niezwykły dokument, który dotyczy dwustu tysięcy ludzi, nie jest podpisany przez nikogo. Nie ma daty, nie wymienia miejsca, gdzie go wydano. To po prostu bezdomne, wyrugowane zewsząd słowa. *Displaced words.*

Lecz tę deklarację poprzedza list brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Ernesta Bevina. Musimy go przyjąć poważnie i zastanowić się nad treścią, gdyż jest on wyrazem dobrej woli. Żałować wypada, że błędy przekładu i korekty mogą stać się tematem krytyki lub niestosownych żartów, nie brakło nawet przypuszczeń, jakoby list ów nie był autentyczny.

Rzecz prosta, zastrzeżenia te są nieuzasadnione: list jest autentyczny, jest – na przekór błędom gramatyki i korekty –

poważny, jest smutny i pełen taktu, tylko raz bowiem, w sposób niezmiernie dyskretny, używa terminu „uwolniona Polska”. Co więcej, minister Bevin rozumie doskonale, że są pewne sprawy, które stoją na przeszkodzie powrotowi i pisze: „Rząd Brytyjski przy-

Generał Anders drażni Stalina tak, jak cara Mikołaja I drażnił generał Skrzynecki

szedł do przekonania, że wszyscy członkowie Polskich Sił Zbrojnych, którym powrót do Kraju jest możliwy, powinni wrócić jak najprędzej”. Jeśli zdanie „którym powrót do Kraju jest możliwy” przetłumaczymy na poprawny język polski oraz jeśli zestawimy je z dalszym zwrotem: „ci żołnierze, którzy zdając sobie sprawę z całokształtu obecnego stanu rzeczy, uważają swój powrót do Polski za niemożliwy” itd. – wtedy będziemy musieli przyjąć do wniosku, że pan minister Bevin widzi doskonale ryzyko, związane z powrotem dla pewnych kategorii polskich żołnierzy. Sprawę tę szczegółowo omawia oświadczenie Tymczasowego Rządu Polskiego „wyłuszczające swoją politykę”.

Postaramy się wyłuskać to oświadczenie, chwilowo zaś wypada zająć się samym listem, który utrzymuje, że „rząd” warszawski ma „prawo mówienia w imieniu Polski”. Nieszczęsny tłumacz użył zwrotu „jedyne autorytet”, co pewnie oznaczać ma jedyną „władzę”. Zdanie to brzmi: „jest uważany przez rząd brytyjski, jak również przez inne rządy, za jedynego autorytet, mającego prawo mówienia w imieniu Polski”. Otóż, sprawa przedstawia się tak, że ów „rząd” nie jest uznawany przez wszystkie państwa, przede wszystkim zaś, co chyba najważniejsze, nie jest uznawany przez Polaków ani za „autorytet”, ani za „władzę”. Autorytetem nie cieszy się nawet w najmniejszym stopniu, jeśli zaś idzie o władzę, posiada jej złudne choć

krwawe pozory, dzięki temu, że został narzucony przez Rosję.

Skład osobisty tego „rządu” nie jest dla pana ministra Bevina tajemnicą. Przeciwnie, po wystęпах delegatów warszawskich na posiedzeniach ONZ mógł sobie wyrobić właściwy sąd o panach Rzymowskich czy Modzelewskich. Rozumiemy doskonale, że pan minister Bevin musi w każdym razie do jakiegoś czasu mówić o tym „rządzie” poważnie i spełnia jego życzenia.

Sytuacja ma precedensy w historii. Na przykład dziewięćdziesiąt sześć lat temu car Mikołaj I oświadczył, że uzna króla belgijskiego, ale przeszkadza temu „obecność Skrzyneckiego i innych Polaków w służbie Leopolda; skoro tylko otrzymam wiadomość, że zostali wyrzuceni (*Qu'ils sont tous dehors*) natychmiast wyślę ministra, poczem Leopold wyśle do mnie swego ministra”. Dzisiaj generał Anders drażni Stalina tak, jak cara Mikołaja I drażnił generał Skrzynecki, który miał wobec Belgii ogromne zasługi. Rosjan nie należy drażnić, dlatego też lewicowa prasa brytyjska (na przykład „News Chronicle” z 21 marca) dodatnio ocenia pierwsze kroki zmierzające do demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych i sądzi, że ten akt ułagodzi Rosję. Zapewne Sowiety zrezygnują z dalszych zaborów!

Warchoty to wy!

Musimy stwierdzić stanowczo, że w „rządzie” warszawskim widzimy wszystko inne, tylko nie autorytet i nie władzę polską. Są to ludzie z zewnątrz, albo obywatele sowieccy, albo jednostki nieznanne w Polsce, lub też znane z najgorszej strony. Nie przynoszą nam wstydu, ponieważ nie przyznajemy się do nich. Z myślą o tym „rządzie” powtarzamy słowa twórcy *Wyzwolenia*, Stanisława Wyspiańskiego (1955: 400): „Warchoty, to wy! – Wy, co liżecie obcych wrogów podłóże, czołgacie się

u obcych rządów i całujecie najeźdźcom tapy, uznając w nich prawowitych wam królów. Wy hołota [...]. Wy lokaje i fagasy cudzego pyszałstwa, którzy wyciągacie dłoń chciwą po pieniądze – po łupież pienneżną, zdartą z tej ziemi, której złoto i miód należy jej samej i nie wolno ich grabić. Warchoty, to wy, co się nie czujecie Polską i żywym poddaństwa i niewoli protestem! Wy sługi! Drżycie, bo wy będziecie nasze sługi i wy będziecie psy, zaprzęgnięte do naszego rydwanu, i zginiecie! I pokryje waszą podłość NIEPAMIĘĆ!

Słowa te dzisiaj wyrażają prawdziwy stosunek narodu polskiego do „autorytetu” czynników warszawskich, z tą jednak różnicą, że nie zapomnimy nigdy niektórych faktów, głównie zgody na oddanie Sowiетom potowy Polski.

Pan minister Bevin uważa deklarację warszawską w kwestii powrotu żołnierzy polskich do Kraju za „zadowolającą”. My uważamy tę deklarację za zapowiedź represji, których żaden obcy rząd nie będzie mógł zahamować, ani nawet skontrolować.

Musimy zadać pytanie na jakiej podstawie pan minister Bevin przypuszcza, że „rząd” warszawski dotrzyma tekstu deklaracji. Przecież, jak dotąd, nie dotrzymał żadnego zobowiązania, przecież jest on narzędziem Sowiетów, którzy gwałcą nie tylko wszystkie zobowiązania wobec Polski, ale także wobec Rządów Sprzymierzonych. Czy jest jeden układ, którego by Rosja dotrzymała? Czy nie kpi sobie i nie szydzi z wszystkich, nawet najbardziej dla siebie korzystnych, traktatów? I czy deklaracja „rządu” warszawskiego, dziś „zadowolająca”, będzie dotrzymana?

List pana ministra Bevina o jeden dzień wyprzedził wiosnę kalendarzową, ale nam przeszedł po kościach mróz, mróz iście syberyjski, choć w liście jest tylko umiarkowana, chłodna zachęta do powrotu, nie ma zaś nacisku i gróźb.

Za morzem

Pan Bevin, w przeciwieństwie do innych, nie rzuca przyrzeczeń na wiatr, dlatego też poprzestaje na stwierdzeniu: „rząd brytyjski poczuwa się zobowiązany stwierdzić, że żadnych dalszych przyrzeczeń dać nie może i nie obiecuje członkom Polskich Sił Zbrojnych gwarancji, iż oni wszyscy będą mogli osiedlać się na terenach brytyjskich, czy to w Wielkiej Brytanii, czy też za morzem”.

Przerazająca doprawdy, w przekładzie polskim, jest ta postać częstotliwa „osiedlać”, która skazuje polskiego żołnierza na wieczną włóczęgę, na jakiś pierwotny, pasterski tryb życia. Rzecz prosta, mamy do czynienia z błędem przekładu, który zamiast formy dokonanej „osiedlić się” (raz jeden! na miłość boską, tylko raz jeden!) daje postać powtarzającą się, częstotliwą, iteratywną. Z miejsca na miejsce, co rok, może co tydzień, gdzie indziej...

Żołnierze polscy „będą traktowani, w miarę naszych sił i środków, w sposób godny ich wielkich zasług”. Dalej czytamy: „W wykonaniu polityki zawartej w orędziu pana Churchilla rząd brytyjski, współpracujący z innymi rządami, będzie przychodził ze wszelką jemu [komu? – Z. N.] możliwą pomocą tym, którzy walczyli obok nas podczas całej wojny, celem umożliwienia im rozpoczęcia nowego życia poza Polską wraz z rodzinami i z osobami, będącymi od nich zależne”. Przetłumaczywszy to zdanie na język polski, musimy zapytać o jakie „orędzie” pana Churchilla idzie? My pamiętamy rozmaite orędzia, o których „wykonaniu polityki”, niestety, nic nam nie jest wiadomo. Przecież w najcięższych dla Wielkiej Brytanii chwilach słyszeliśmy inne zapowiedzi, inne zobowiązania! Przecież polski lotnik, polski żołnierz, polski marynarz bił się nie w tym celu, by po zwycięskiej

wojnie mógł „osiedlać się” na terenach brytyjskich, czy to w Wielkiej Brytanii, czy też za morzem.

Znowu potknięcie się tłumacza w zwrocie „za morzem” (czy to oznacza „imperium” czy po prostu zastępuje wyrażenie *over-seas*?), znowu to zdumiewające niedbalstwo przekładu sprawia, że adresat może odpowiedzieć: „Ależ Panie Ministrze, my, będąc tu, już jesteśmy «za morzem»! Ależ morze, i to niejedno, dzieli nas od Polski! Morze w znaczeniu dostownym i morze w znaczeniu oceanu krzywdy, zawodu, zdrady! Dla nas, choćbyśmy mogli nie wiem ile razy «osiedlać się» na terenach brytyjskich, będzie to zawsze i zawsze pobyt «za morzem»!”.

Nadto czytamy: „Nie idzie w rachunek, żeby Polskie Siły Zbrojne, czy to armia lądowa, czy marynarka, czy lotnictwo, będące obecnie pod dowództwem brytyjskim, zostały zachowane przez rząd brytyjski, jako niezależne siły zbrojne, pozostające poza granicami Kraju”. Prasa londyńska z 21 marca, komentując list pana ministra Bevina, rzuciła projekt utworzenia jakiejś brytyjskiej legii cudzoziemskiej, według jednak naszych zapatrywań, to „nie idzie w rachunek”. Dziękujemy.

Cokolwiek można, indywidualnie czy zbiorowo, odpowiedzieć na list pana Bevina, w każdym razie wypada ocenić dodatnio kurtuazyjną formę. Sami domyślamy się zakończenia, które mogłoby brzmieć: *Sincerely yours*. Bo też pan minister Bevin życzy dobrze polskiemu żołnierzowi i daje wyraz swej szczerzej trosce na myśl o powrocie pewnych kategorii przestępców wojennych do Kraju. Również zasługuje na uwagę fakt, że w liście nie ma jakichś okrutnych żartów, bez których w podobnej sytuacji nie mógłby się obejść na przykład premier Churchill. Przeciwnie, list jest poważny, głęboko smutny i nie bez poczucia bezsilności – oby chwilowej! – wobec zła.

Warszawska deklaracja praw żołnierza polskiego

W przeciwieństwie do powyższego listu, żadnych trudności nie nasuwa analiza deklaracji warszawskiej, dołączonej do tegoż listu. Świadczy ona w sposób nie ulegający wątpliwości, że „rząd” warszawski chce żołnierzy polskich od powrotu odstraszyć.

„Rząd” warszawski chce żołnierzy polskich od powrotu odstraszyć

Byłby to naprawdę chyba jedyny argument, przemawiający poważnie za powrotem: jeżeli „rząd” warszawski nie chce masowego przyjazdu repatriantów, to może ów przyjazd mógłby przynieść jakąś korzyść Kraju. Niestety to prowokacyjne wyzwanie obciążone jest zbyt wielu groźbami, zawiera zbyt otwartą i naiwną zapowiedź represji.

Zamiast od słów „Witajcie!”, zamiast od choćby jakichś oszczędnych, fałszywych i banalnych frazesów, „rząd” warszawski zaczyna od podstępnej zaczepki: „Do powracających oficerów i żołnierzy nie będą stosowane represje i kary”, po czym następuje przecinek i słowa: „z następującymi wyjątkami”. Za cóż to mają spaść na żołnierzy owe kary i represje? Chyba za „wielki wkład, którym przyczynili się do zwycięstwa Zjednoczonych Narodów”, o czym w liście swym wspomina pan Bevin. A może owe kary i represje mają nastąpić w związku z „wielkimi zasługami” żołnierzy polskich?

Represje mają objąć tych, którzy służyli w wojsku niemieckim, ludzi winnych zdrady stanu i przestępców pospolitych. Tak to postanowił „rząd” warszawski, złożony całkowicie ze zdrajców stanu, złożony głównie z ludzi, znajdujących się od jesieni 1939 do lata 1941 roku w obozie sprzymierzeńców

Hitlera, rząd, w którym nie brak także przestępców pospolitych.

Jeśli idzie o ludzi służących w wojsku niemieckim, „rząd” warszawski postępuje się kategoriami ustalonymi przez... Niemców. Nastąpi jak gdyby uzgodnienie między „rządem” warszawskim a poprzednimi okupantami, w związku z czym przyjęto podział na cztery grupy, z których pierwsza obejmuje „osoby, uważane za zupełnie lojalne w stosunku do ustroju hitlerowskiego”. Bravo! Któż to był bardziej lojalny wobec ustroju hitlerowskiego, jeżeli nie Rosjanie w pierwszych dwóch latach wojny? Gdzież to, po jakiej stronie frontu, przebywali nateczas panowie Bierut, Gomułka, Osóbka? Ależ byli oni w Rosji, która zasilala Niemców na przykład benzyną w ciągu bitwy powietrznej o Wielką Brytanię. Ależ byli oni w Rosji, która przez długi czas okazywała niezwykłą lojalność wobec ustroju hitlerowskiego!

Grupa druga kategorii pierwszej obejmuje „osoby, uważane przez władze niemieckie za godne ich zaufania tylko do pewnego stopnia”. Cały niemal „rząd” warszawski powinien tedy, w związku z działalnością w ciągu pierwszych dwóch lat wojny podpaść pod tę kategorię.

Grupy trzecia i czwarta (deklaracja nie precyzuje różnic między nimi) obejmuje „osoby wpisane przymusowo na listę Volksdeutschów”. Różnica między pierwszą i drugą, a trzecią i czwartą grupą wyraża się w tym, że dwie ostatnie będą zrehabilitowane „automatycznie”, podczas gdy dwie pierwsze muszą „przeprowadzić swoją rehabilitację na drodze sądowej”. W Polsce obecnej sędzia nie wyrokuje na podstawie prawa, lecz orientując się wycuciem nastrojów szerokich mas społecznych, czyli sądzi według widzimisię czy złej woli własnej lub tych czynników, które decydują, ponad jego głowę o wymiarze sprawiedliwości. W tych warunkach można oskarżyć absolutnie,

każdego żołnierza polskiego, albo żołnierza niemieckiego, o to, że dobrowolnie stanął w szeregu „faszystów”. Jakże udowodni on, że został wcielony przemocą, albo że wciągnięto go na listę Volksdeutschów bez jego woli, czy nawet przeciw jego woli?

Sowiety potrafią wmawiać w opinię świata, że na przykład dzieci polskie same, z własnej woli, dały się wywieźć do Rosji, gdzie znalazły „gościńnię”, tak bowiem propaganda rosyjska określa deportację setek tysięcy nieszczęśliwych ofiar. Jeśli idzie o żołnierza polskiego, który pod groźbą śmierci musiał znaleźć się przejściowo w szeregach niemieckich, i który te szeregi przy pierwszej sposobności porzucił, by walczyć przeciwko Niemcom – otóż jeśli idzie o tego żołnierza, stanie on automatycznie przed sądem, a dalsze losy można sobie dośpiewać bez trudu. Żołnierz ów, zgłaszając obecnie chęć powrotu, byłby szaleńcem, podkładałby zdrową głowę pod ewangelię.

Przyjrzyjmy się kategorii drugiej: „Represje i kary będą stosowane dalej wobec osób, winnych Zdrady Stanu, według definicji, przyjętej przez Polski Kodeks Karny obowiązujący od 1 września 1932 roku”. Tu obserwujemy rekord cynizmu: przecież wszyscy bez wyjątku członkowie „rządu” warszawskiego są zdrajcami stanu, a to ściśle według cytowanego przez nich kodeksu. Przecież potoczyli się z wrogami Polski. Szpiegowali i szpiegują w dalszym ciągu na rzecz tych wrogów. Wyrazili zgodę na pomniejszenie Rzeczypospolitej o potowę jej terytorium. Podeptali konstytucję. Wypowiedzieli postuszeństwo Prezydentowi Rzeczypospolitej i jej prawowitemu rządowi. Wszyscy ci ludzie są w najdokładniejszym słowa znaczeniu zdrajcami stanu. I oni właśnie, oni ośmielają się stosować podobne oskarżenie wobec żołnierza polskiego!

Samo narzuca się pytanie, co „rząd” warszawski może kwalifikować jako zbrodnię

zdrady stanu? Czy przy absolutnej dowolności, przy bezprawiu, które jest główną cechą stosunków w okupowanym kraju, czy wobec braku jakiegokolwiek kontroli ze strony międzynarodowej, nie wystarczy fakt, że żołnierz polski nie wrócił na pierwsze wezwanie? Że zbałamucony przez „faszystów”, trwa przy swej przysiędze? Przecież w ten sposób można postawić w stan oskarżenia o „zdradę stanu” dwieście tysięcy żołnierzy polskich, równie jak lotników czy marynarzy! Co więcej, można im udowodnić tę „zdradę stanu”!

Kategoria trzecia wywołuje uśmiech politowania, mówi bowiem o „winnych przestępstw pospolitych według definicji Polskiego Kodeksu Karnego obowiązującego od 1 września 1932 roku”. Ależ, panowie „ministrowie” warszawscy, najpierw zaczniście od samych siebie! W waszym „rządzie” znajdują się przestępcy pospolici. Przecież „marszałek” Żymierski odsiedział karę więzienia za przestępstwo zupełnie pospolite! Przecież „minister” Rzymowski wprawdzie nie siedział w więzieniu, ale został wyrzucony z Polskiej Akademii Literatury za kradzież obrzydliwą, bo za plagiat! Te dwa wypadki chyba wystarczą.

Czytając dalej deklarację warszawską, wkraczamy w dziedzinę farsy. Punkt drugi opiewa, jak następuje: „Ofiarna służba żołnierzy polskich, którzy walczyli na wielu frontach pod sztandarami naszych Sprzymierzonych Zachodnich będzie uznana na równi z bohaterstwem Armii Polskiej utworzonej na terenie ZSRR”. O, to jakaś nowość! Według dawniejszych, ale niezbyt dawnych enuncjacji warszawskich, Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie właściwie nie istniały. Na przykład o wkładzie, tak wspaniałym, polskich lotników było zupełnie cicho, i dopiero podczas otwarcia wystawy RAF-u w Warszawie padło pierwsze oficjalne słowo pochwały pod adresem bohaterów Bitwy

Powietrznej i ofensywy na kontynent. Słowo to wypowiedział nie członek „rządu” warszawskiego i nie „marszałek” Żymierski, ale wysoki oficer... brytyjski.

Ponadto, 20 marca pan minister Bevin przytoczył w Izbie Gmin poprzednie stadia rokowań o powrót polskich żołnierzy do Kraju, mówiąc: „Ku memu wielkiemu zdziwieniu i żalowi, natychmiast po dojściu do porozumienia w sprawie tekstu powyższego dokumentu [idzie o deklarację warszawską – Z. N.], polski rząd tymczasowy wystąpił do rządu brytyjskiego i opublikował notę, w której oświadczył, że nie uważa już jednostek polskich sił zbrojnych, będących pod dowództwem brytyjskim, jako części składowej wojska polskiego. Rząd polski w nocy tej zażądał natychmiastowego rozwiązania tych jednostek i polecił żołnierzom, którzy chcą powrócić, aby zgłaszali się indywidualnie do polskich konsulatów zagranicą”.

Więc najpierw „rząd” warszawski oświadcza, że nie uważa wojska polskiego za wojsko polskie ani żołnierza polskiego za żołnierza polskiego, w następnym zaś stadium pertraktacji prawi o „ofiarniej służbie żołnierzy polskich, którzy walczyli na wielu frontach pod sztandarami naszych Sprzymierzonych Zachodnich”. Przecież to jeszcze nie koniec, jeszcze nie wieczór i „rząd” warszawski może wrócić do poprzednio zajmowanego stanowiska i odebrać żołnierzowi polskiemu nawet nazwę. Cóż stanie na przeszkodzie? Skoro nawet pan Churchill został przez Stalina porównany do Hitlera, któż obroni polskiego żołnierza przed zarzutem, że był narzędziem „faszyzmu” w walce z „demokracją” sowiecką?

Paradne zapewnienia

Punkty trzeci, czwarty, piąty, szósty, siódmy, ósmy i ostatni w deklaracji punkt dziewięty obejmują zapewnienia, co do których

wskazana jest jak najdalej idąca ostrożność. Żołnierze będą mogli wstępować do szkół oficerskich lub podoficerskich i do pozostań w wojsku? Ależ te szkoty i całe to wojsko

W waszym „rządzie” znajdują się przestępcy pospolic

jest w rękach rosyjskich! „Stopień, wystuga lat, dekoracje i odznaki wojskowe zdobyte przez oficerów i żołnierzy w walce z Niemcami – na którymkolwiek froncie – będą uznane i zaliczone”. Zgoda! Lecz jeżeli przypadkiem, jakiś sędzia śledczy spyta żołnierza o pochodzenie dekoracji, o to, czy nie były one nadane przez na przykład generała Sosnkowskiego lub przez generała Andersa – czy nie będą one musiały być przedmiotem śledztwa, procesu i rehabilitacji? Na gruncie Rosji, a zatem obecnie i na gruncie Polski, nikt nie jest wolny od obawy oskarżenia o cokolwiek, w tym zaś wypadku okoliczność obciążającą może stanowić fakt, że żołnierz został udekorowany przez generała Andersa, dowódcę „band dywersyjnych”, skutkiem czego ów żołnierz sam stał się automatycznie członkiem owych „band”. Pod „rządami” warszawskimi nie tylko w teorii, ale i w praktyce, można z *Virtuti Militari* czy z Krzyża Walecznych zrobić „lica czynu” i postawić żołnierza w stan oskarżenia.

Punkt czwarty prawi o działkach ziemi, które przysługiwać będą żołnierzowi polskiemu. Tak, wielkie to dobrodziejstwo, ale ów żołnierz, zamiast nowej a pustej, nie uprawianej, nie zabudowanej, nie zagospodarowanej działki, wolałby stanowczo tę, którą posiadał na przykład pod Tarnopolem czy pod Krzemieńcem lub Nowogródkiem. Oddajcie najpierw to, coście temu żołnierzowi wzięli!

Wszystkie korzyści, obiecywane żołnierzowi polskiemu po powrocie, nie zostały bynajmniej ujęte w formę ustawową i deklaracja powołuje się jedynie na jakies wy-

powiedzi pana Bieruta podczas konferencji prasowej, na jakąś mowę „marszałka” Żymierskiego, na wywiad udzielony przedstawicielom agencji Polpress. Szukaj wiatru w polu! Mocodawcy „rządu” warszawskiego potrafią wyprzeć się najbardziej uroczystych, stwierdzonych podpisem zobowiązań, dlaczegóż więc narzędzie ich, „rząd” warszawski ma trzymać się obietnic, ogłoszonych w... wywiadzie z agencją Polpress?

Punkt szósty deklaracji warszawskiej mówi o korzystnej zamianie funtów na złote, mianowicie po kursie 420 zł za funta szterlinga. Jest rzeczą wiadomą, że „rząd” warszawski sam skupuje funty na czarnej giełdzie, płacąc po osiemset złotych, podczas gdy kurs oficjalny wynosi, jak się zdaje, 20 zł za funta. Poza tym deklaracja warszawska ogłoszona została w drugiej połowie marca, ergo trudno przewidzieć, w jakim stopniu kurs protekcyjny 420 zł będzie daleki od kursu realnego, zatem przyjętego na czarnej giełdzie, w owym czasie, gdy ryzykanci przekroczą granicę Polski. Przecież przy najlepszej woli wszystkich trzech stron powrót jest kwestią długich miesięcy, w ciągu których kurs czarnego rynku może skoczyć bardzo łatwo o kilkaset złotych, jeśli nawet nie o kilka tysięcy. Poza tym samo nasuwa się pytanie dlaczegó „rząd” warszawski miałby dotrzymać tej obietnicy, skoro dotychczas nie dotrzymał żadnej innej w sprawach ważniejszych i bardziej kompromitujących, jak na przykład termin wyborów?

Punkt siódmy zapewnia, że powracający żołnierze, czy to narodowości polskiej czy żydowskiej, pochodzący z dzielnic położonych na wschód od linii Curzona, będą traktowani automatycznie jako obywatele polscy. Znamy się na tym! Doświadczenie mówi o czymś wręcz przeciwnym.

Punkt ósmy rozrzuca czytelnika, gdyż mówi, że „rodziny członków Polskich Sił Zbrojnych rozsiane teraz po całym świecie,

jak na przykład w Afryce Wschodniej, Iranie, Palestynie, Ameryce Południowej itd., będą mogły połączyć się z wojskowymi, członkami swoich rodzin w Polsce”. W tym zdaniu jest pewna luka: dlaczego deklaracja nie wspo-

Być Polakiem jest to zaszczyt ogromny

mina ani słowem o rodzinach, które znajdują się na terenach na przykład Kazachstanu, Semipalatyńskiej czy Swierdtowskiej czy innej *obłasti*? Ależ tam jest, a raczej, niestety, było najwięcej tych rodzin! Co dzieje się obecnie z tymi rodzinami? Dlaczego deklaracja zapomniała o nich, troszcząc się o inne, żyjące w warunkach ludzkich?

Wzmianka o Iranie nadaje się do sielanki w ONZ. Któż wie, co będzie z Iranem do czasu powrotu polskich żołnierzy? Może stanie się on, z kolei po Polsce, osiemnastą republiką sowiecką?

Niezwykłą doprawdy reklamę robi sobie „rząd” warszawski, twierdząc, że „komunikacja pocztowa i telegraficzna została w Polsce w zasadzie przywrócona”. Paradne jest to „w zasadzie”! Najpierw trzeba mieć jakieś zasady, aby mówić o zasadach, po wtóre zaś nic nam nie wiadomo w praktyce o regularnej komunikacji pocztowej z Polską. Dochodzi mniej więcej co dziesiąty list. Reszta ginie. To właśnie jest „zasadą”.

Identyczne zastrzeżenie występuje w trakcie lektury ostatniego już zdania deklaracji, które mówi o pomocy, jakiej repatriantom udzielać będą specjalnie zorganizowane biura. Być może, owe biura istnieją „w zasadzie”, ale zasadą było i jest dotychczas to, że repatriant, czasem nawet będąc „grubą rybą”, musiał na granicy pożegnać się z całym bagażem i z zegarkiem, *of course*.

Na tym skończyć można pobieżną analizę historycznej, warszawskiej deklaracji praw żołnierza polskiego.

Powrót jest kapitulacją!

Kto w tej grze stawia na reszkę powrotu, ryzykuje sporo osobiście, zadając szkodę sprawie polskiej. Są jednak ludzie, których napięte aż do ostateczności nerwy nie wytrzymują dalszej próby, są ludzie, których – niezmiernie to rzadki wypadek, do wyjątków należący – zwywa rodzina, są wreszcie ludzie, którzy nawet dzisiaj, nawet w obecnych warunkach, przydać się mogą krajowi. Nie należy ich potępiać, należy ich raczej żatować. Mają wolną wolę.

Inaczej z drugimi, którzy depczą przysięgę i oddają się w służbę narzuconemu rządowi, kierując się żądzą zysku, chęcią zrobienia kariery, tym łatwiejszej, że ów „rząd” warszawski operuje doborem ludzi niewykształconych, pozbawionych znajomości administracji, przede wszystkim zaś doborem ludzi podejrzanych w oczach społeczeństwa. Kto wyjeżdża stąd, by tam wypłynąć na mętnych wodach, niechże jedzie jak najprędzej. Powinniśmy nawet zachęcać tych ludzi za pomocą jakiejś specjalnej premii. Kraj pozna się na nich szybko i w sposób właściwy skwalifikuje ich postępek.

Być Polakiem jest to zaszczyt ogromny. Równocześnie jest to zespół obowiązków, którym nie każdy sprostać potrafi, szczególnie dzisiaj, w godzinie próby charakterów. Polska, polskość, poczucie narodowości, przynależność – nie formalna, ale duchowa – do narodu, to rzecz rzadka, bezcenna, która nie może być udziałem wszystkich, każdego, kto siebie zwie Polakiem. O prawdziwej polskości decyduje sumienie i honor. Poeta, wielki twórca *Wyzwolenia*, ujmie ten problem w słowach: „Więc my tracimy przez to, że niepotrzebnie wyrabiamy w tyłu ludzi poczucie narodowości, a oni, nie mając charakteru, nie wiedzą, co z tym począć i kapitulują [...] Ale za nich nie może być odpowiedzialny naród. Oni nie są narodem. [...]”

Oczywiście, człowiek słaby, który jest bierny, ulega. [...] Ale to nie znaczy, że naród ulega” (Wyspiański 1955: 439).

Czymże, jeśli nie poniżającą kapitulacją byłaby zgoda na warunki deklaracji warszawskiej? Po tylu latach wojny żołnierz może wrócić do kraju, który nie jest ani wolny, ani niepodległy; do kraju, którego połowę zabrali wrogowie. Rządzą w tym kraju obcy przy pomocy renegatów. Jedyną zachętą do

powrotu stanowi obietnica, że prawdopodobnie nie wszyscy repatrianci zostaną ukarani za udział w walce przeciwko Niemcom. Taki ma być teraz wynik naszego udziału w zwycięstwie.

Kto godzi się na te warunki, ten ulega i kapituluje. Ale to nie znaczy, że skapitulował i uległ Naród Polski.

Londyn, 22 marca 1946 r.²

Przypisy:

1. Zygmunt Nowakowski, *Orzeł czy reszka?*, London: Williams, Lea & Co. 1946. Usunięto niektóre śródtytuły. Wszystkie przypisy bibliograficzne pochodzą od redakcji. Tekst zaopatrzony był mottem: „Ale to nie znaczy, że naród ulega”, Stanisław Wyspiański, *Wyzwolenie* (1955: 439). Podstawą przedruku był egzemplarz ze zbiorów Pawła Chojnackiego.
2. W oryginale następował dopisek: „PS. Radio «rządu» warszawskiego oświadczyło, że dołączonej do listu pana ministra Bevina deklaracji nie należy uważać za deklarację. Londyn, 27 marca 1946 r.”.

Co dalej?

Jakubowi Morozowi udało się zrobić wywiad z Zygmuntem Nowakowskim. Czytaj w *Krakowskim Kredensie*.